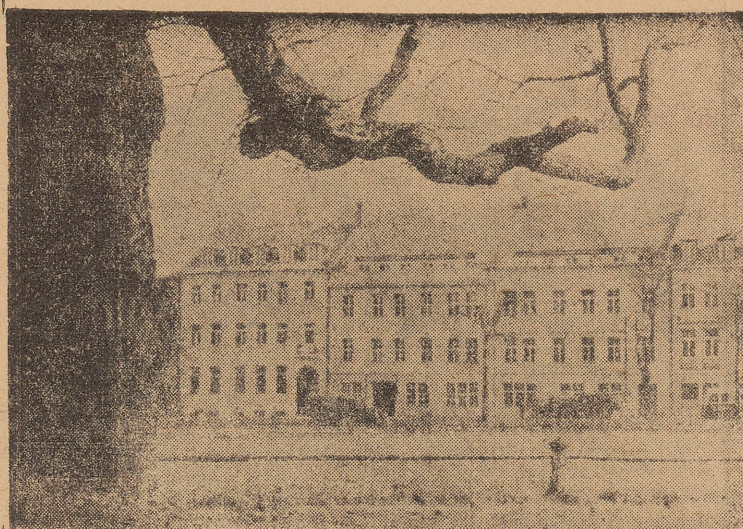


Rajscy

Hustrowany dodatek Dziennika Bałtyckiego

Nr 14

NIEDZIELA, 2 KWIETNIA 1950 r.



Na miejscu dawnych ruin stały piękne nowe domy. Na zdjęciu odbudowane gmachy jednej z reprezentacyjnych ulic Gdańska. (Foto Z. Kosycarz)

eszcze na ulicach toczyły się boje, jeszcze nie ostrył żar pogorzelisk, gdy w ślad za żołnierzem radzieckim i polskim wkroczył do Gdańska pionier. Pierwszy to bodaj raz w niepiśmianym słowniku dziejów Polski znalazło się słowo. Pioniera łatwo odróżnić od poszukiwacza przygód, czy życiowego spryca. Cechuje go ryzykancka odwaga, hart ducha, przedsiębiorczość. Niczym żołnierz w karabinie, pionier uzbrojony jest w cenny ładunek entuzjazmu do pracy. Choćby duch bojowy, wygląd zewnętrzny często licho: zakurzone ubranie, plecak wyposażony w mizerną skórkę chleba, buty do nóg przytwierdzone sznurkami.

Wśród pionierów takich właśnie niepozornych: nauczycieli, robotników, urzędników prowadzących w pierwsze, pamiętne dni kwietnia szosy i drogi, wiedące do Gdańska.

Pierwszy pociąg dotarł do Gdańska 28 kwietnia. Było tu już wówczas przeszło 2 tysiące mieszkańców — przybywców z głębi kraju. Przyjechali tu samochodami, ale więcej jeszcze przyszło ich na piechotę. Nie odetchnęwszy po trudach podróży, zaczęli organizować nowe życie. A trzeba było mieć naprawdę wszystkie pionierskie zalety ducha, aby nie ulec się niespodzianek i przeszkód, jakie cichały na każdym kroku.

Nim rozwiły się dymy pogorzelisk

— Żałosny wygląd przedstawiało miasto, gdy wkroczyliśmy tu z Armią Czerwoną — wspomina b. partyzant i jeden z organizatorów Milicji Obywatelskiej na terenie Gdańska Z. Zejdweberowicz.

— Aleja Rokossowskiego „udekorowana” była trupami niemieckich — żołnierzy niemieckich, których dowództwo w ten sposób ukarało za ucieczkę. Z odległych Sianek dochodziły odgłosy bitwy. Każdy dom wyglądał jak forteca, na ulicach zasiadli, zwali trupy koni i ludzi, gruz, gruz...

Wśród grozy świeżego poboju, widać pionier polski nie czuł się jednak osamotniony. Nad miastem śpiewały warkotem silników pieśni zwycięstwa „sokoły Stalina”, a na każdym kroku można było spotkać żołnierza radzieckiego.

Oczyszczał on miasto, szukając ukrytych gestapowców i SS-manów, odminowywał teren, kłopotał się o żywność dla napływającej fali osiedleńców.

— Od pierwszej chwili wkroczenia do Gdańska — wspomina monter Nowowiejski, który przywędrował w ekipie pocztowców — poczuł się nad sobą opiekę. Żołnierze radzieccy nie tylko wyzwolili Gdańsk, ale pomagali nam organizować tu nowe, polskie życie.

MIROSLAWA WALICKA

Pierwsi w Gdańsku

Gdy nasza ekipa pocztowców zwróciła się do komendanta wojennego o pomoc, od razu nam ją dano. Otrzymałmy kwatery na noc i dużą porcję żywności. Jakże znaczenie miała wówczas żywność w zniszczonym, wygłodzonym Gdańsku, wiedzą o tym pierwsi osiedleńcy.

Spotkania z żołnierzami radzieckimi

Suchy chleb stanowił rzadki, wysoko ceniony przysmak. Toteż do dziś pamiętam cudowny smak chleba, którym uraczył nas radziecki żołnierz. A do tego jeszcze była wielka kupa miodu. Pierwsze dni upłynęły nam dostojnie słodko.

O życzliwym, ludzkim stosunku żołnierzy radzieckich opowiada również nauczycielka Kwiatkowska (obecnie inspektor szkolny).

— Gdy objeżdżałam miasto przez ówczesnego inspektora Truszczyńskiego szkołę przy Feldstrasse (obecnie Smoluchowskiego) musiałam toczyć zawzięte walki z szabrownikami. W walce tej pomagał mi oficerowie i żołnierze Armii Czerwonej.

— To jest szkoła i nie wolno jej niszczyć, bo tu wasze dzieci będą zdobywały wiedzę — powiedział kiedyś oficer radziecki, usuwając szabrownika, który zamierzał skraść jedną szafę.

— Gdy nie miałam żywności dla robotników, uprzedzających gruz — snuje wspomnienia nau-

czycielka — znów zwróciłam się o pomoc do radzieckich żołnierzy. — Damy wam zaraz konia i furmankę. Przywieziecie sobie kartofli. — Istotnie, tego samego jeszcze dnia obietnica została wykonana.

W rozległym Gdańsku nienależąca pomoc dla pionierów stanowiła ciężarówkę, prowadzoną przez żołnierzy radzieckich. Samochody te robiłyby niewątpliwie konkurencję naszym obecnym autobusom, wyciągały bowiem szybkość ponad 100 km na godz. Pierwsi mieszkańcy Gdańska, przybyli tu z głębi Polski, często korzystali z tych pojazdów — ekspresów.

Bardziej jeszcze, niż pomoc materialną podtrzymywali pionierów na duchu pogawędki, uczynne z szabrownikami, przy różnych okazjach.

— Pamiętam w pierwsze święto Wielkiejnoy (a było to 1-go kwietnia) do późnego wieczoru rozmawialiśmy z żołnierzami radzieckimi. Zajmowali oni przyległe do nas baraki, przy ul. Lignickiej — wspomina Nowowiejski — odwiedzaliśmy się wzajemnie. Oni dzielili się z nami wrażeniami z bojów, opowiadali nam o swych rodzinach, my im mówiliśmy o naszych perypetiach wojennych, o naszym kraju. I choć to były dni głodne i chłodne, nigdy świat pięknie nie przeżyłem. W atmosferze prawdziwego braterstwa miłe upływały godziny gawęd.

Dni trudu

Po owych pierwszych w wolnym Gdańsku, niecodziennych świętach, przyszły dni wytężonej pracy.

Pierwszy posterunek milicji założyliśmy na Oruni. Garstka nieumundurowanych milicjantów, z przewieszonymi przez ramie karabinami, czy pistoletami przy boku, musiała wykazywać nieraz wiele odwagi. By zaprowadzić jakiegoś ład w zniszczonym mieście, trzeba było staczać utarczki z ukrytymi SS-manami i gestapowcami, trzeba było likwidować szabrowników, którzy dezorganizowali normalne życie, musieliśmy wrzeszcze uprzątać miasto z zasieków i gruzów — opowiada Zejdweberowicz o pierwszych chwilach działalności MO w Gdańsku.

— Na terenie Gdańska wszystkie urządzenia telefoniczne były zepsute — mówi Nowowiejski — zaczęliśmy więc naprawiać uszkodzoną centralę telefoniczną we Wrzeszczu. W pierwszych dniach kwietnia zabieraliśmy w Gdańsku dzwonek pierwszego telefonu, uruchomionego w Dyrekcji PIT. W ciągu tygodnia uruchomiliśmy dalszych 8 aparatów.

I tak w każdej dziedzinie nie żałując trudu, nie licząc godzin pracy, ani nie oglądając się na zapłatę pionierzy budowali nowe życie w martwym mieście.

— Szkoła, którą objeżdżałam — wspomina inspektor Kwiatkowska — przedstawiała obraz kompletnej ruiny. Zabijaliśmy okna i drzwi deskami, ławki ściągaliśmy z pobliskiego stadionu. Po tygodniu zgłosił się do mnie pierwszy pracownik, woźny Wasilewski. 8 maja przyszła kobieta z dwojgiem dzieci. To byli moi pierwsi uczniowie. 13 maja miałam 4 uczniów, a pod koniec czerwca było ich już 60. W czerwcu przybyły nowe nauczycielki: Szczepanko, Dąbrowska, Cichoniska.

Życie wróciło do martwego miasta

Z niemalym wzruszeniem wspominają pionierzy pierwsze „rew-

lacyjne” wydarzenia na terenie miasta. Uruchomienie pierwszych stołówek przez Zarząd Miasta, zaopatrzenie ludności w kartki i otwarcie pierwszych sklepów. Historycznym niemal momentem było uruchomienie sieci elektrycznej, w dniu 19 czerwca. W dzień, kiedy potem ruszyły w Gdańsku pierwsze tramwaje i pierwszy dźwięk w porcie. A jednocześnie napięli do Gdańska coraz to nowi osiedleńcy. Przybywało ręk do pracy. W końcu 45 roku z grupki 425 osób — pionierów, którzy przybyli w pierwszych dniach kwietnia 45 r., urosła cyfra 84446 osiedleńców. Razem z ludnością miejscową oraz niemiecką w Gdańsku było wówczas ponad 93 tys. ludności.

Zapoczątkowane rękami pionierów prace, podjęły setki robotników. Ówczesny Urząd Zatrudnienia zarejestrował w końcu 45 r. 29 tys. pracowników. Pionierzy ożywiły miasto mocą nieustraszonego entuzjazmu, upartej ambicji, żelaznej wytrwałości. Oni pierwsi, nie tylko rzucili hasło odbudowy, ale w mroźnej, nieefektywnej pracy hasło to realizowali. I dlatego w pięćdziesiątą rocznicę wyzwolenia Gdańska wspominamy ich z prawdziwym szacunkiem.

STEFAN BALICKI

Tryptyk gdański

Gdy staniesz na brzegu i przymrużysz oczy
wzdrzisz
nad roztopioną miedzią
domy zmiążdżone pięścią wojny.
Ich stronne odbicia żarzą się cegłami
i drżą.
gdy ręce łodzi pluskają pod mostem.
Chłopiec
przecinający ciszę wędka,
ma włosy płonące od słońca.
Stoi na palu
i przekreśla ze swistem spokój cmentarza.
Zazgrzytał rdzą kuter
i brązowe po łokcie ręce
zdejmuje ze sznurka bieliznę.
Woda przy brzegu jest smolą.
Człowiek ciągnie z niej wiosła,
błysk magnezji koszułi
i rybak z łodzią ginie w dymiącej miedzi...
Na podpalonym błękiecie
wysoko
złocą się słomki rusztowań. Wstaje ratusz.

Nad głową admirała
iskrzył pył gwiazd
z młyna Kosmosu.
W oczodolach Zbrojowni
fosforyzuje księżyc.
Uliczka, w którą wszedłeś jest wąwozem nocy.
W ogniu zapalki przybiegają do nóg cegły
i nim nastroisz się w przeszłość
stają się znów noca.
Zar papierosa mówi, jak jesteś sam
i jak bliska Ci twa ręka,
ściana przed Tobą szczyrzy zęby wilka.
Leży olbrzymi, zwalony gromem wojny.
Po jego rudym grzbiecie
w srebrnym płaszczu nocy
idziesz.
Ty i cisza.
Twój cień kurczy się i ciągnie po zwalach jak
guma.

Nogi znajdują pewność chodnika.
Kroki, które rosną są dobre.
Idą robotnicy. Błyskają bańki z kawa
Rozchodzą się rytym stop:
Dobranoc.
Dobranoc.
Rosną prostokąty światła.
Na twarzy plusz wiatru od morza.
Mrugają gwiazdy. Będzie pogoda.

Oczy nie chcą patrzeć w górę
gdy deszcz srebra iskrzy złotą Artusa
i Motławę mieni w rybą łuskę.
Tramwaj
wysoko trąbi na rogu szyn,
a konduktorka gwizdząc
ma policzki jak jabłka.
Dekoracja domu Stefensa
zmarłychwstała domem.
Ulica Długa rojna od:
ludzi
konł
i wozów.
Nowy Stary Gdańsk
od fundamentów
budują
czerwone z cegły
ręce murarzy.
Chwała im.

LECH BĄDKOWSKI

MUZYKA W OFENSYWIE

Harmonia Bałtycka wczesnie stanęła do pracy kulturalnej na Wybrzeżu. Już dnia 29 września 1945 r. odbył się jej pierwszy koncert, przy czym orkiestra wówczas liczyła tylko 35 osób.

Ubiegłe pięć lat to okres szybkiego wzrostu życia gospodarczego, społecznego i kulturalnego całego Wybrzeża. Podobny wzrost obserwowaliśmy także w życiu i działalności Filharmonii Bałtyckiej. Uwidacznia się to między innymi w sile jej zespołu orkiestralnego. Kiedy 1945 rok zamknęła składem 50 osób w orkiestrze, w roku następnym osiągnęła już 59, w 1947 — 64 i w 1948 r. — 68 osób. Obecnie gra w niej 75 muzyków. Widzimy więc, że na przestrzeni ubiegłych lat siła orkiestry zwiększyła się o 30 proc.

Jednocześnie ulegał rozszerzeniu

program wykonywanych utworów i ilość odbytych koncertów. Cyfry na tym odcinku nie posiadają bezpośredniej wymowy, bowiem przy pogłębianiu pracy, podnoszeniu jej stylu i zasięgu, nie można w każdym roku notować mechanicznego wzrostu ilości koncertów. Może bardziej charakterystyczne będą raczej liczby frekwencji rocznej oraz przeciętnej ilości słuchaczy na koncert.

Wiecej melomanów

I tak w latach od 1945 do 1948 roczna ilość słuchaczy wynosiła kolejno: 3.620, 41.400, 76.250, 66.130. Zaznaczyć należy, że w ciągu tych lat stale zwiększała się ilość biletów płatnych i to do 2.420 w sezonie 1945-6 r. do 30.000 w sezonie 1948-9 r.

Obecny sezon nie jest jeszcze zamknięty i dlatego trudno go podsumować. Dotychczasowe obliczenia wykazują, że w koncer-

tach Filharmonii wzięło udział już ponad 43.000 słuchaczy, przy czym w stosunku do poprzedniego sezonu wzrosło pokaźnie przeciętne uczestnictwo w jednym koncercie i wynosi 866 osób, a w ciągu trzech miesięcy b. r. — prawie 900 osób.

Należy przytoczyć kilka nazwisk. Pierwszym dyrektorem Filharmonii był Zbigniew Turski, a kapelmistrzem Bohdan Wodiczko, który obowiązywał swoje pełni do chwili obecnej. Również od pierwszego koncertu w orkiestrze grał Henryk Palulis, dzisiejszy jej koncertmistrz. Od połowy 1946 do połowy 1949 r. dyrektorem był Stefan Śledziński, a od tego czasu dyrektorem został Zygmunt Latoszewski.

Wbrew przeszkodom

Wybry mówią wiele, nie potrafią jednak odmalować trudności, jakie kładły się na drodze systematycznego rozwoju Filharmonii

Bałtyckiej, trudności przezwyciężanych wielkim wysiłkiem, a nawet fanatyzmem miłośników dobrej muzyki. Jeżeli dziś dobra muzyka stała się artykułem pierwszej potrzeby dla dużej grupy mieszkańców trójmiasta, jest to w pierwszym rzędzie zasługą tych jej propagatorów, którzy nieustraszenie zabiegali o jej regularną dostawę.

Spśród głównych trudności na czoło wybijają się: brak odpowiedniego lokalu nie tylko na koncerty, ale na próby i na pomieszczenie aparatu administracyjnego, brak nut, tworzenie programu od punktu zerowego, brak niektórych instrumentalistów, ze strajaniem się nowego zespołu przy jednoczesnym jego stałym wzroście, duże dystanse trójmiasta itd. Cała Polska przeżywa dziś wielki renesans dobrej muzyki. Dzieje się tak dzięki opiece rządu ludowego, który na rozwój

(Ciąg dalszy na str. 2)



W związku z 62 rocznicą śmierci Bolesława Czerwińskiego zamieszczamy jego utwór „Czerwony sztandar”.

BOLESŁAW CZERWINSKI

Czerwony sztandar

Krew naszą długo leją katy,
wciąż płyną ludu gorzkie łzy,
nadejdzie jednak dzień zapłaty!
sędziami wówczas będziemy my!

Dalej więc, dalej więc wzniesmy śpiew,
nasz sztandar płynie ponad trony,
niesie on zemsty grom, ludu gniew,
wolności rzucając siew...
A kolor jego jest czerwony,
bo na nim robotnicza krew!

II.

Choć stare lotry, nocy dzieci,
nawiazać chcą starganą nić,
co złe, to w gruzy się rozleci,
co dobre, wiecznie będzie żyć!

Dalej więc, dalej więc wzniesmy śpiew,
nasz sztandar płynie ponad trony,
niesie on zemsty grom, ludu gniew,
wolności rzucając siew...
A kolor jego jest czerwony,
bo na nim robotnicza krew!

ZOFIA GIEDROYC

Milowe kamienie oświaty i kultury



Jedy się wraca myśla do pamiętnego wiośny wyzwolenia, wieżrzy się nie chce, że w krótkim okresie 5 lat tak wiele zostało zrobione. Pamiętam z tamtego czasu rozmowę z pewnym cudzoziemcem, który powiedział, jak się wówczas zdawało trzęwo:

— Z tego zniszczenia nieprędko będziecie mogli się podźwignąć — i materialnie i kulturalnie. Podźwignęliśmy się szybko, sio wa cudzoziemca nie sprawdziły się. Jego pomyłka polegała na tym, że nie wziął pod uwagę współczesnika zapachu, z jakim przystąpił cały naród do odbudowy.

Szkoły otwarte dla wszystkich

5 lat w dziedzinie oświaty i kultury zmieniło gruntownie oblicze naszego województwa. Pamiętamy jeszcze zniszczone budynki szkolne, bez ławek i tablic, bez pomocy naukowych. Dziś dzieci uczą się w warunkach higienicznych, w wyremontowanych salach szkolnych, mają najpotrzebniejsze pomoce naukowe, a wznoszące się piękne szkoły — pomniki świadczą o trosce, jaką państwo nasze otacza uczącą się młodzież. W przeciwieństwie do stosunków przedwojennych dziś nie ma już punktów bezszkolnych. Szeroka rozbudowa szkolnictwa zawodowego umożliwia naszej młodzieży kształcenie się według zdolności i zamiłowań. W Gdańsku powstał ośrodek szkolenia zawodowego technicznego na wysokim poziomie. Są to Gdańskie Techniczne Zakłady Naukowe i jedyne w Polsce Liceum Budowy Okrętów, uczelnia nieznana przed wojną. W ostatnim roku utworzono w Gdyni pierwsze w Polsce Liceum Handlu Zagranicznego. Władza ludowa udostępniła również naukę dorosłym. Nauka przestała być przywilejem do brze sytuowanych. Dziś każdy ośrodek miejski w naszym województwie posiada szkołę powszechną dla dorosłych.

Przed wojną na terenie woj. pomorskiego, do którego należało Wybrzeże, nie było ani jednej wyższej uczelni. Dziś mamy tu 6 wyższych zakładów naukowych: Politechnikę, Akademię Lekarską, Wyższe Studium Pedagogiczne, Wyższą Szkołę Handlu Morskiego, Wyższą Szkołę Sztuk Pięknych i Wyższą Szkołę Muzyczną. Z uczelni tych wychodzą już absolwenci, by służyć swoję wiedzą społeczeństwu. Uniwersyteckie Studium Przygotowawcze uzupełnia braki wiedzy młodzieży robotniczo — chłopskiej, stanowiącej cenny materiał ludzki dla wyższych uczelni. Nasze wyższe uczelnie stały się poważnymi ośrodkami pracy naukowej, czego dowodem są 3 państwowe nagrody naukowe, uzyskane w ubiegłym roku przez profesorów Politechniki Gdańskiej.

Świetlice krzewią kulturę

Związki Zawodowe położyły du że zasługi w pracy kulturalno-oświatowej. Ruch świetlicowy, początkowo niesmiały, ogarniał coraz więcej ośrodków robotniczych naszego województwa. Dziś mamy pokaźną ilość świetlic, które spełniają bardzo ważną rolę kulturalną. W świetlicach prowadzone są kursy początkowe

Ogniska, odczyty i sopocki festiwal

W ubiegłym roku zaczęto tworzyć w środowiskach robotniczych ogniska plastyczne i muzyczne. Ogniska te skupiają utalentowane jednostki, które pod kie-

cie w Nowym Dworze na Żuławach pierwszym w Polsce Domu Kultury, posiadającego dużą salę teatralną, świetlicę, bibliotekę i mieszczącego ognisko pracy artystycznej.

Sopot stał się siedzibą dorocznego Festiwalu Sztuk Plastycznych, który jest ciekawym przeglądem dorobku naszych artystów, a zarazem daje mieszkańcom Wybrzeża możliwość poznania najcenniejszych dzieł wielkich artystów polskiej i obcych.

Kino i radio

Najpopularniejszym środkiem oddziaływania kulturalnego na masę jest kino. W programach kin nowych zaszły ogromne zmiany. Nie oglądamy już standartowych, obliczonych na zysk i ogłupiających filmów amerykańskich. Ich miejsce zajęły wartościowe filmy radzieckie i nowa produkcja filmowa krajów demokracji ludowej. Ilość kin stałych wzrosła w naszym województwie stosunkowo nieznacznie, natomiast działalność kin objazdowych rozwijała się w ogromnym tempie. W r. 1945 było tylko jedno kino ruchome, które wyświetliło 27 seansów, dziś kin jest 8. W r. 1949 dały one ludności na prowincji 4.205 seansów.

Odbudowana Rozgłośnia Gdańska Polskiego Radia również nie mało przyczyniła się do podniesienia kulturalnego naszego terenu. Audycje lokalne informują słuchaczy o wszystkich przejawach życia na Wybrzeżu i znajdują coraz więcej miejsca w programie. Gdańsk często zabiera głos na fali ogólnopolskiej, zaznając kraj z problemami morza i przemyśla. Doceniając rolę radia w szerzeniu oświaty i kultury, przystąpiono energicznie do radiofonizacji terenu. Dzięki radiofonii przewodowej chłop na odległej wsi nie żyje zabity deskami, lecz jest poinformowany o tym, co się dzieje w kraju.

Dzieło mas pracujących

(Dokończenie ze str. 1 artykułu „Muzyka w ofensywie”). Kultury narodowej toż ogromne sumy. Przed wojną było rzeczą nie do pomyślenia, by muzyka stała się artykułem kulturalnego zapotrzebowania ze strony szerokiego rzesz społeczeństwa, jak to w stale wzrastającym stopniu obserwujemy w całym kraju.

Pożytywne te fakty wskazują wyraźnie, że wzrost politycznej i gospodarczej aktywności mas pociąga za sobą wzmożenie życia kulturalnego. Tak jest w Związku Radzieckim, tak jest w Polsce, tak jest we wszystkich państwach demokracji ludowej. Społeczeństwa prężne, budujące u siebie nowe życie, posiadają

rozmach, o którym marzyć nie mogą społeczeństwa kapitalistyczne, kłoniące się ku schyłkowi. Jeżeli dla dokumentowania intensyfikacji życia kulturalnego w Polsce ludowej, a przede wszystkim na Wybrzeżu, wybraliśmy tu Filharmonię Bałtycką, to nie dlatego, aby ona stanowiła jakiś szczególnie jaskrawy wypadek. Tak przecież jest niemal wszędzie. Mówimy „niemal”, bo wiem przy najszybszym wzroście są możliwe nieznaczące i krótkotrwałe zahamowania, które jednak szybko ulegają rozpędowi życia społeczeństwa, budującego podstawy socjalizmu.

Pięć lat życia młodego Wybrzeża dokumentuje ten fakt.

L. B.

Polski teatr na Wybrzeżu ma tradycje bardzo dalekie. W staromiejskim ratuszu nad Radunią grzywały przecież polskie trupy teatralne już w początkach XVII w. W Gdańsku wyszła drukiem komedia Jana Śniatowskiego — Gulińskiego, z której zachował się tylko tytuł, świadczący o tym, że akcja tej sztuki działała się w nadmorskim grodzie. Tu w okresie napoleońskiego występowali trupy Nowickich i Truskalskich, tu przez cały sezon letni 1811 roku grał odciec polskiego teatru, Włodziech Bogusławski. Niestety piękne te tradycje przetrwały nie w pierwszej połowie 19 wieku. Toteż kiedy po ostatniej wojnie polska Melpomena wróciła w mury wypalonego Gdańska, stanęła w obliczu wielu i nie było jakich trudności.

Początki były trudne

Na Wybrzeżu brakło nowszej tradycji teatralnej. Przed wojną nie było tu ani odpowiedniego budynku, ani stałego zespołu teatralnego. Zjeżdżający co pewien czas do Gdyni Teatr Ziemi Pomorskiej musiał szukać gości w Domu Kolejowym. Gdyni budynek teatralny, nazywany popularnie przez gdynian „stodołą”, przetrwał szczęśliwie ostatnie dni wojny, podczas których spłonęły teatry w Sopocie i Gdańsku i stał się początkowo reprezentacyjnym teatrem Wybrzeża. W Sopocie i Wrzeszczu trzeba było posługiwać się salami niepełnymi, odpowiedziami wymaganiom sceny. Dzięki inicjatywie kilku aktorów (przed wszystkim należały do wymienionych zmarła niedawno Helena Hałacińska i Aleksandra Gassowskiego) szybko uruchomiono teatry i zaczęto walczyć o widza. Walkę tę prowadzono jednak chaotycznie. Po szczególne sceny pracowały bez

planu i nie uzgadniały między sobą linii repertuarowej.

Aby zakończyć chaos organizacyjny i repertuarowy postanowiono no kierownictwo teatrów Wybrzeża skupić w jednym ręku. Dyrektorem scen w Gdyni i w Sopocie został Iwo Gall. Rozpoczął się drugi okres życia teatralnego. Zanotować tu można kilka naprawdę pięknych osiągnięć inscenizacyjnych dyr. Galla, jak wystawienie „Homera i Orchidei”, „Balladyna”, „Chorego z urolenia”, czy nagrodzonej na konkursie szekspirowskim sztuki „Jak wam się podoba”. Niestety, wkrótce zaczęto dostrzegać ujemne strony teatralnego monopolu. Teatr Gallowski miał bowiem charakter teatru studyjnego. Gra młodego zespołu oraz eksperymentatorskie ambicje reżysera i dekoratora nie zawsze przypadły do gustu publiczności Wybrzeża. Teatr, który w wielkim ośrodku kulturalnym byłby niewątpliwie ciekawą i cenną placówką artystyczną, nie spełniał swego zadania na terenie trzech połączonych miast nadmorskich. Był bowiem zbyt elitarny i... jed nostajny.

„Gallia est omnis divisa...”

Dla zlikwidowania zauważalnych błędów przeprowadzono latem 1948 roku jeszcze jedną reorganizację. Oba teatry Gallowskie, do których dołączono jeszcze trzech, amatorski — prowadzony przez Malwinę Szczepkowską we Wrzeszczu — upaństwowiono. Naczelnym kierownikiem artystycznym został Iwo Gall, który jednak zatrzymał reżyserskie tylko sceny gdynińskiej. Kierownictwo teatru w Sopocie objął reżyser scen krakowskich, Stefan Orzechowski. Scena dawnego Teatru Miejskiego we Wrzeszczu, aż do chwili uruchomienia

FRANCISZEK FENIKOWSKI

Pięć lat walki o widza

Teatru Wielkiego w gmachu „Polonii”, kierować miała Halina Gallowa. Monopol został zniesiony, tak że mógł powiedzieć dowiec jeden z literatów Wybrzeża, iż „Gallia est omnis divisa in partes tres”. W ten sposób starano się zapewnić poszczególnym scenom odrębne profile artystyczne w ramach orga-



Nagrodzona na Konkursie Szekspirowskim przedstawienie komedii „Jak wam się podoba”.

nizacyjnych Państwowego Teatru „Wybrzeże”. Dla scen w Sopocie i Gdyni przewidziano repertuar społeczny i rozrywkowy. Z chwilą zaś uruchomienia wielkiej sceny we Wrzeszczu, teatr tamtejszy miał przejść na repertuar muzyczny — dramatyczny. Dla wykształcenia odpowiednich sił utworzono Studio Teatru Muzycznego przy

Państwowym Teatrze „Wybrzeże”. Studio to, mające przygotować fundamenty pod przyszłą Operę Morską, wystawiło jako popis swych adeptów „Halke”, „Moniuszki”. Przedstawienie to nie należało, niestety, do zbyt udanych! Obecnie z powodzeniem działa na tym odcinku dr Zygmunt Latoszewski, który opracował ostatnio „Eugeniusza Oniegi-na”.

Repertuar trzeciego etapu teatralnego na Wybrzeżu przyniósł kilka udanych premier, jak np. „Szklanka wody”, „Maria Stuart” czy „Lato w Nohant”. W poszukiwaniu widza masowego, który teatr Galla raczej omijał, przeprowadzano w tym czasie ciekawe eksperymenty. Niezapomniane wrażenie np. pozostawiły przedstawienia w stocznich. Publiczność w roboczych kombinacjach, wypełniała tłumnie ogromną kadłubownię, oblepającą dźwigi i maszyny i z zapartym potem śledząc dialogi czy to „Pana Jowialskiego” czy komedii radzieckiej „Tu mówi Tajmyr” — to byli właśnie ci widzowie, których należało ośmielić i zachęcić do częstszych „flirtów z Melpomeną”.

Czwarty etap

Zdaje się, że udało się to dopiero zrealizować w czwartym fazie życia teatralnego Wybrzeża, która nastąpiła z nowym sezonem 1949-50. Dyr. Gall przyniósł się do Łodzi, miejsce jego zajął St. Kwaskowski, który już poprzednio jako dyrektor teatru w Bielsku potrafił nawiązać twórczy kontakt ze słaskim widzem robotniczym. Teatr stał się te-

raz popularny. Widownia nareszcie przestała świecić pustkami. Przyczyniły się do tego przede wszystkim znacznie częstsze premiery (w ciągu bieżącego sezonu mieliśmy już 11 premier, tzn. tyle, ile przyniósł cały sezon ubiegły) oraz umiejętnie rozprawianie zniżkowych biletów dla świata pracy przez ORZZ, DOSZ, ZMP, Kuratorium i Bratnią Pomoc wyższych uczelni Wybrzeża. Wyniki tych posunięć nie dały na siebie długo czekać. Frekwencja w stosunku do ubiegłego sezonu wzrosła niemal dwukrotnie. Świadcza o tym częste komploty, przy czym przeciętna frekwencja w stosunku do ilości miejsc wynosiła w Gdańsku 80 proc., w Gdyni 79 proc., a w Sopocie 68 proc.

Oprócz inicjatywy Dyrekcji podkreślić należy również wysiłek zespołu, który pracuje niemal bez wytchnienia, co usprawnia wiedliwa pewne usterek w inscenizacjach niektórych sztuk. „Marta w dusze”, to jest aktorzy, którzy w ubiegłym sezonie całymi miesiącami czekali na rolę, zniknęli bez śladu. Mimo wyjątkowej pracy artystycznej, aktorzy Wybrzeża znajdują jeszcze czas na pracę społeczną. Sześciu z nich np. kieruje świetlicami zakładowymi. Kontakt z klasą robotniczą staje się coraz żywszy. Na uwagę zasługują też wprowadzone ostatnio dyskusje aktorów z robotnikami. Dyskusja taka odbyła się np. po generalnej orbie „Ciszy”. Zaproszeni na nią stocznicy dyskutowali na bardzo wysokim poziomie.

Teatry Kwaskowskiego mają jak widzieliśmy, duże ambicje. Płyną nie tylko wychować nowego widza (środkami nierzadko oryginalnymi, jak np. ogromne tablice w westibulach z napisami „Dziękujemy za punktualne przy-

bycie!”), ale także oblać swym oddziaływaniem jak najszerzy teren. Niestety, sprawa częstszego przekraczania granic trójmiasta natrafia na duże przeszkody, spowodowane przede wszystkim brakiem odpowiednich środków lokomocji.

Tak to w skrócie przedstawia się pięcioletnie dzieje teatralne centralnego „przymorza”.

Zi skłoniłnika
A. Suchanka
Ludzie
Wybrzeża



Franciszek Albekier
popularny działacz robotniczy

Przełom rozpoczął się...

Powiedzmy sobie od razu szczerze: walka klasowa, która toczy się z całą ostrością w naszym kraju w najmniejszym stopniu przyniosła pozytywne rezultaty w dziedzinie sztuki. Jeżeli w innych dziedzinach naszego życia kulturalnego przemiany społeczne toczą się głębokim nurtem, jeżeli już niemal na każdym odcinku obserwujemy rezultaty rewolucji, kształtującej oblicze społeczeństwa polskiego, budującego ustrój socjalistyczny, jeżeli nasze życie gospodarcze i polityczne siedmiomilowymi krokami idzie naprzód, — to sztuka jeszcze dotąd dąpcza w tyle za wszystkim co postępowe, co nowe.

Jeszcze do niedawna niektórzy plastycy polscy, zapatrzeni w schyłkową sztukę francuską, kultywujący w swoich pracowniach z gruntu fałszywe poglądy o „sztuce dla sztuki”, tworzący „so-bie a muzeum” dzieła zdegenerowane, kłódkarskie i oszukańcze, uśmiali wewnątrz społeczeństwu mylne teorie o istnieniu rzemiosła artystycznego oderwanego od życia, od wielkich przemian, zachodzących w życiu narodu.

Zagubieni w dociekaniach formalistycznych, wędrujący po peryferiach sztuki, sami się wreszcie zapędzili w ślepy zaułek, nie dostrzegając, że społeczeństwo ani ich, ani ich sztuki już nie potrzebuje, bo ani oni sami jako artyści, ani też ich dzieła nie mają nic wspólnego z życiem, które stawia zupełnie inne wymagania, które zupełnie inne wysuwa postulaty.

Cały naród nasz żyje wielkimi przemianami, dokonującymi się z całą potęgą na każdym odcinku. Klasa robotnicza — twórcza tych przemian ma prawo widzieć w dziedzinie artystycznej odbicie tego wszystkiego, co powstaje, rośnie i potężnieje. Sztuka nie może w żadnym razie być od życia izolowana. Jeżeli jednak istnieje-

zmem, zrywając z dekadencją, mieszczańską i kapitalistyczną sztuką i będąc się starali nauczyć malarstwa realistycznego w formie i socjalistycznego w treści. I właśnie dlatego przede wszystkim trzeba uznać warszawską wystawę za przełomową w dzie-

naszych ciał jeszcze grzechy minionych lat, które doprowadziły w skutkach do tego, że znacznej ilości obrazów brak głównie dobrego rysunku, że kolorystyka jest brudna, że nawet w bardziej udanych próbach obrazy mają charakter reportażowy, że brak im wy-

ska-Rajcherowa, Wł. Królikiewicz, W. Lam, W. Lewandowski, K. Łada, A. Łosowski, St. Michałowski, M. Mokwa, B. Rogiński, St. Rolicz, Z. Serafinowicz, B. Słuszkiewicz, K. Śramkiewicz, J. Studnicki, J. Wankowa, J. Wodyński, St. Wójcik, M. Zabłocka, M. Ziomek - Kowalewska, H. i J. Żuławscy, St. Żukowski.

Wystawili oni 59 prac.

O czym mówią prace plastyków Wybrzeża? O tym przede wszystkim, że zrozumieli oni czego od nich żąda społeczeństwo, zrozumieli sens współczesnej epoki, otworzyli oczy na to wszystko, co ich otacza.

Niektórzy z nich za mocno siedzieli w sztuce „nieporozumienia” artystycznego, — że się tak wyrażymy, — by już dziś można było mówić o ich malarstwie jako malarstwie socjalistycznym. Dawna tematyka, obca normalnemu człowiekowi obozu postępu, która panowała się w niektórych pracowniach, ustąpiła miejsca słusznej i rozumnej treści. Ale na przewyższenie dawnej manieri trzeba sporo czasu i dużo, bardzo dużo rzetelnego wysiłku oraz maksimum dobrej woli.

A ponieważ ta dobra wola, sądząc z nadesłanych prac, istnieje, spodziewać się należy, że błędne, kolorystyczne - formalistyczne tendencje będą po pewnym czasie bez reszty przezwyciężone i plastycy Wybrzeża włączą się w dziedzinie swojej pracy do wielkiej walki o socjalizm. Zrozumienie dawnego niesłusznego stanowiska, chęć naprawienia go i wola wstąpienia na właściwą drogę są już i tak dużym krokiem naprzód.



Na zdjęciu: „Przerwa” — Heleny Krajewskiej — Warszawa.

nie naszych sztuk plastycznych. To jest pierwszy pozytyw, który trzeba mocno i zdecydowanie podkreślić.

Czy wszystkie próby zrozumienia istoty realizmu socjalistycznego uwiecznione zostały na warszawskiej wystawie powdzeniem?

Twierdzimy, że nie. Twierdzi- my, że na twórczości plastyków

razu głębszego przekroczenia. Na warszawskiej wystawie Wybrzeża reprezentowane jest przez 35 plastyków, są to:

J. Bogdanowicz, St. Chlebowski, J. Dorant - Działottowa, E. Dzierżewski, Edrygiewicz - Suchocka, W. Frydrych, J. Gasiński, J. Górniewicz, B. Just, Z. Kałkiewicz, M. Kasprowicz, J. Klunowski, A. Kobzdej, Krasnodę-

PAWEŁ HERTZ

Siła poezji Słowackiego

Juliusz Słowacki był za życia poetą nieznanym. Ani w kraju, gdzie docierały jego książki, wydawane w Paryżu, ani w Paryżu wśród emigracji polskiej, myśli jego i dzieła nie znajdowały żywego echa. Gdy Mickiewicz znalazł słuchaczy już za życia, gdy Zygmunt Krasinski zachwycił się przynajmniej ci, którym odpowiadały jego poglądy polityczne, — Słowacki skłócony z otaczającym go światem emigracji, a także ze społeczeństwem z kraju, zwrócił się zaledwie kilku młodych zwolenników. Zanim spróbował wyrazić dążenie, jak sam Słowacki pisał, „poety Słowackiego są bez reszty w Polsce”... chciałabym choćby pobieżnie streścić krótki życiorys autora „Beniowskiego”.

Urodził się Juliusz Słowacki dnia 4 września 1809 roku w domu profesora Liceum Krzemienieckiego, go, autora „Poetyki” i licznych przekładów z poezji klasycznej, pana Dąbrowskiego Słowackiego.

W roku 1811 pan Dąbrowski Słowacki został profesorem Uniwersytetu w Wilnie, dokąd przeniósł się z Krzemienia z całą rodziną. W trzy lata później Dąbrowski Słowacki umiera na gruźlicę, pozostawiając wdowę z pięcioletnim synkiem, Pani Salomea rychło wychodziła ponownie za mąż za uniwersyteckiego koleżę swego męża, pana profesora Bocu.

Juliusz Słowacki kończy szkołę średnią w Wilnie i w Wilnie rozpoczyna studia uniwersyteckie.

Dyktansem i okrętem

Po ukończeniu studiów opuszcza Słowacki Wilno i jedzie na życzenie matki do Warszawy, by tu, w biurach Komisji Skarbu po święcie się Karłowiczem, którego nie pragnął i która go nudziła. 15 listopada 1830 roku Słowacki przesyła cenzurze warszawskiej swój rękopis, składający się z kilku większych powieści poetyckich. Nie wiadomo, czy cenzura udzieliła pozwolenia, bo o to w nocy z 29 na 30 listopada wzbudziło powstanie. Słowacki nie był w konspiracji, mimo to wziął czynny udział w wydarzeniach, jako poeta. Warszawa poznała go jako poetę rewolucyjnego, autora wierszy powstańczych.

Dnia 8 marca opuszcza Słowacki powstającą Warszawę i wyrusza do Dreżna. Jest to ucieczka, której przez całe życie żałował.

Następnie po krótkim pobycie w Londynie przenosi się Juliusz na stałe do Paryża. Ale i tu nie bawi długo. Jedzie do Szwajcarii, gdzie osiada w małym pensjonacie pod Genewą. Jest zupełnie sam. Znużony zapewne tą idyllą szwajcarską, ledwie przerywaną niewinnymi uczuciami do rozmaitych romantycznych pań, wyjeżdża Słowacki w roku 1836 do Włoch. Zwiedza je sumiennie, długo przebywa w Rzymie, gdzie poznaje Zygmunta Krasinskiego, z którym zawiera serdeczną przyjaźń. Następuje po drodze na Wschód.

W ciągu roku zwiedza Słowacki Grecję, Egipt i Palestynę.

Po powrocie ze Wschodu osiada Słowacki we Florencji. Pisze tu wielkie rękopisy dla paryskiej ksigalni.

Wreszcie w grudniu 1838 roku powraca znowu do Paryża, by osiedlić tu na dłużej i poświęcić się wyłącznie pracy literackiej.

Wiosna Ludów

Mijają lata. Słowacki styka się kolejno z najrozmaitszymi obywatelami emigracji, ale do żadnego z



3 bm. minie 101 rocznica śmierci poety.

nich nie przystaje. Zdawało by się, że Towiańskiemu uda się go opętać, ale Słowacki okazuje niezwykłą przenikliwość i po krótkim okresie egzaltacji odwraca się na zawsze od proroka w niebieskich okularach. Po kolei ukazywały się coraz piękniejsze dzieła Słowackiego, ale nie budziły wśród emigracji niczego, prócz drwin i niechęci.

Wiosna Ludów, wiosna roku 1848 zastała Słowackiego w chorobie. Ciało jego i umysł były już nie z tej ziemi. Ale Słowacki zdawał sobie doskonale sprawę ze znaczenia tego osobliwego roku. Dotąd marzył o tym, by stare rozpadło się w gruzy, choć często „nowe” ubierał w stroje przeszłości. Teraz wiedział na pewno, że stary świat upada, był świadkiem, jak lud paryski wznosił barykady. Kiedy wybuchła rewolucja w Niemczech, gdy rozpoczęło się powstanie w Poznaniu, Słowacki ruszył do Poznania z garstką przyjaciół. Był uczestnikiem Zebrań Komitetu Powstańczego i zgodnie ze swoją ideą niechętnie podtrzymywał lewe, radykalne skrzydło tego Komitetu.

Gdy powstanie upadło, gdy władzę pruskie poleciły mu opuścić Poznań, ruszył do Wrocławia. Zatrzymał się w tym mieście przez dni kilkanaście i tu po raz pierwszy od lat prawie dwudziestu zobaczył się z matką, która przybyła z Galicji. Ale władze pruskie nie pozwalały mu zatrzymać się tu dłużej.

Odjechał więc znowu do Paryża. Długa choroba, wypadki ostat-

nich miesięcy, pokonały go ostatecznie. Dnia 3 kwietnia 1849 r. Juliusz Słowacki zmarł na rękach przyjaciół.

Pogrzeb odbył się na cmentarzu Montmartre. Zaledwie kilka osób odprowadzało tę małą trumnę, niewielkiego bowiem wzrostu był Juliusz Słowacki.

Po śmierci jednak sława jego rosła nieustannie. I to nie tylko dlatego, że jak sam przepowiedział w swoim wierszu, pozostała po nim „ta siła fatalna”, ale dlatego, że czas, który nadchodził po jego śmierci, okazał się bliższy jego poezji.

Duch — wieczny rewolucjonista

Wychowany w środowisku na wskroś już inteligentnym, Słowacki wyżył się wszelkich cech sarmackich, bez których nie rozumiano poezji w okresie jego życia, ani na emigracji, ani tym bardziej w kraju.

Jego antyklerykalizm, antypapizm, niechęć do ustalonych autorytetów społecznych, nieustanna rebelia przeciw wstępnemu, czego nie mógł ująć w swoim sumieniu, sprawiły, iż go niemal wyklęto. Przez długie lata nie wiadomo, co począć z tym trzecim wiekiem — nie znajdowano w nim tego, co dawał Mickiewicz, czy raczej tego, co jedynie chciano z Mickiewicza wzięć: spokoju i ubóstwienia przeszłości, pokornej wiary. Nie znajdowano również i tego, co ofiarowywał Krasinski: konserwatyzmu, lęku przed zmianą, apoteozę solidaryzmu narodowego.

Powiedzmy sobie od razu: Słowacki nie jest rewolucjonistą świadomym metod rewolucji, jego poglądy polityczne są niekiedy anachroniczne, choćby w zestawieniu z poglądami Mickiewicza. Natomiast jest Słowacki rewolucjonista, świadomym celu rewolucji, tak jak ją rozumieł ludzie owych lat. Tym celem była dla Słowackiego nie tylko niepodległość jego ojczyzny, ale i wyzwolenie człowieka w ojczyźnie i w świecie.

Nigdy tak się nie zdarza, by poeta wielki nie był jednocześnie poetą szlachetnym, bliskim człowiekowi i jego sprawom, by nie walczył o godność ludzką, by nie protestował w sprawach zdawało by się przegranych i by nie chłonił słabszych przed przemocą i niesprawiedliwością silniejszych. To wszystko czynił Juliusz Słowacki swoim piórem i dlatego z miłością i pokorą pochylamy się nad tą proroczą mową wszystkiego strofą:

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna, Co mi żywemu na nie, tylko czoło zdoła.

Lecz po śmierci was będzie głośna niewidzialna, Aż was, zjadaczy chleba w aniołów przerobi.

Przed siewami wiosennymi na Żuławach



W spółdzielczym ośrodku maszynowym w Starym Polu mechanicy Jan Burciński i jego pomocnik Bolesław Sankowski kończą remont traktora w związku z przygotowaniem do akcji siewnej w zespole majątku PGR Kraszewo.

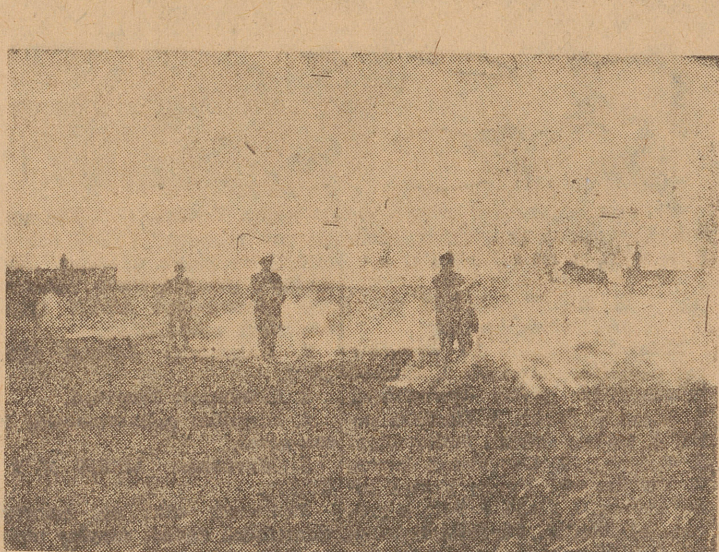
— Wszystko w porządku. Maszyny gotowe do wyjścia w pole — melduje kierownik Ośrodka Milewski. — Od stycznia do maja br. wyremontowaliśmy 11 traktorów, 25 siewników zbożowych, 12 nawozowych i cztery plugi traktorowe.

— Jak trzeba było, to pracowaliśmy i w nocy — śmieje się niefrasobliwie mechanik Edward Kozikowski, zadowolony z rezultatów wspólnej pracy.

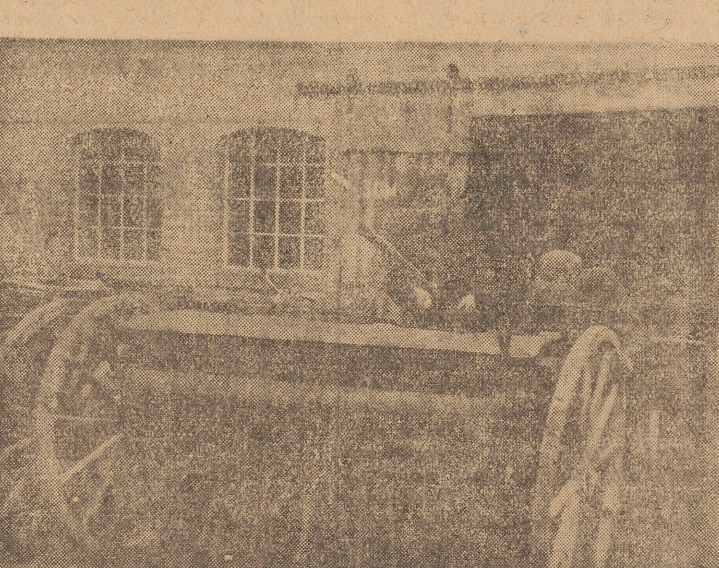


Już godzina pierwsza. Przerwa obiadowa skończona. Mechanik Kozikowski wraz z drugim traktorzystą Mieczysławem Wedelstedtem mają orać ugor pod lasem. Zwinnym „Zetor 25” pędzi po szosie jak szalony i znika na zakręcie bocznej drogi.

— Dawaj Mietek łańcuch, złączymy dwa traktory, bo inaczej nie poradzimy sobie z orką — woła mechanik do pomocnika. Szelest wysuszonej trawy miesza się z workotem traktorów. Plug kraje nieustępliwie tnątą ziemię, spragnioną wiosennego słońca i ziarna.



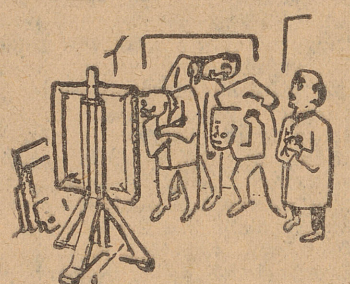
Żyzne grunty wzdłuż szosy, należące do zespołu PGR Kraszewo są już starannie zaorane i przygotowane do siewów. Robotnicy przywieźli tu wozami nawozy sztuczne. Józef Gąbka, Marian Ryngwalski, Józef Pański i Franciszek Parachiewicz przewiezli sobie przez plecy płachty, nabrali fosfatów i ruszyli na pole. W oślepiającym słońcu wiosennym idą rytmicznie po polu, rozsiewając cenny fosfat, białą chmurą rozpylający się nad ziemią.



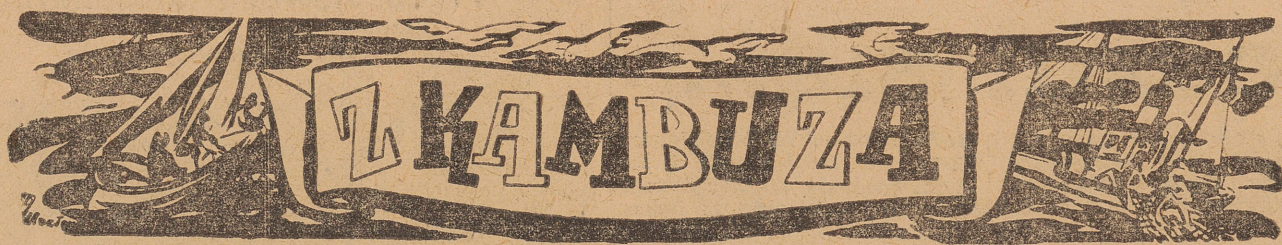
— Coś niedobrze z tym siewnikiem! — martwi się Erwin Polom, brygadier traktorzysty, który jak zapobiegliwy gospodarz przeprowadza ostatnią lustrację siewnika przed odnieniem go do majątku. — Zawadzi — mówi do pomocnika. — Odkręć no tę śrubę. Zobaczmy, czego tam brak w środku.

Tadeusz Zawadzki, uczeń ślusarski, nachyla się nad maszyną, malstrując przy niej cierpliwie. Brygadier Polom uśmiecha się pobłażliwie. We właściwej chwili pomoże chłopcu, aby siewnik był gotów na czas.

Kącik humoru



Malarstwo na Zachodzie



KTO ZABIŁ ALINE?

Pierwszą osobą, jaką zobaczyłam w kawiarni, była pani Marta.

— Skąd się pani tu wzięła? — zdziwiłam się, zajmując miejsce przy jej stoliku. — Nie widziałam się już chyba ze dwa lata!

— Mieszkalam przez ten czas w Warszawie — odpowiedziała pani Marta. — Od tygodnia jestem w Gdyni, ale jeszcze nie pracuję. Gdyby nie książki, nie wiedziałabym co robić z czasem.

— A co pani teraz czyta? — spytałam.

— Ach, strasznie wpadłam — oburzyła się pani Marta. — Prosiłam o jakąś dobrą kryminalną książkę, a w domu przekonałam się, że dano mi „Balladynę” Słowackiego!

— No i co, przeczytała pani „Balladynę”?

— Musiałam — westchnęła pani Marta. — Nie miałam nic innego do czytania. Ale ja i tak nie wierzę, że ona to zrobiła.

— Że co zrobiła? — zdziwiłam się.

— Nie wierzę, że Balladyna zabiła Aline — powiedziała pani Marta. — Nie wierzę w to ani przez chwilę. Ona jest bardzo podejrzana, to prawda, ale nigdy nie jest mordercą ten, na kogo wszystko wskazuje.

— Zdaje mi się... — zaczęłam. — Czy pani nie rozumie? — przerwała pani Marta. — Cały efekt byłby na nic, gdyby to Balladyna popełniła morderstwo. Na to Słowacki był na pewno za sprytny.

— Więc kogo pani podejrzewa? — spytałam oszłamioną.

— Filona — powiedziała stanowczo pani Marta. — Najpierw podejrzewałam Gralona, ale on jest drugą ofiarą. Tak właśnie być powinno. Pierwszy podejrzany zawsze zostaje zamordowany. To dla większego wprowadzenia czytelnika w błąd.

— Tak? — powiedziałam słabym głosem i zamówiłam małą czarną.

— Tak — powtórzyła pani Marta. — To musiał być Filon.

— A pustelnik? — spytałam. — Pustelnik, który prowadził tak tajemniczy żywot w lesie?

— Zbyt tajemniczy — zaprzeczyła pani Marta. — To byłoby za proste. To na pewno był Filon. Przecież kiedy znalazł zwłoki Aline, zawołał: „Nie... to zwierzę! leśny musiał zabić ciebie!”. Czyż to nie jasne? Od razu usiłuje zrzucić podejrzenie

Zamówiłam podwójną czarną i powiedziałam:

— Może już zapomniałam niektóre szczegóły. Przejrzę sobie jeszcze raz „Balladynę” i postaram się znaleźć mordercę.

Po powrocie do domu zagłębiłam się w „Balladynę”. A na jutro pośpieszyłam spotkać się z panią Martą.

— Już wiem! — zawołałam z dumą. — Aline zabił paż!

— Paż? — powtórzyła z powątpiewaniem pani Marta. — Przecież to tylko epizodyczna postać!

— Właśnie dlatego! — oznajmiłam triumfalnie. — To typowy chwyt kryminalny Słowackiego. Nikt nie podejrzewa paż. A przecież paż wyraźnie mówi: „Ja sam widziałem z gołańskiego lasu za żorawiami ciągnącą „dziewczynę”. Czyż to nie najlepszy dowód? Zbrodnia, popełniona w małoletnim wieku, pomieszała mu zmysły.

— To zupełnie możliwe — szepnęła w zadumie pani Marta. — Tak, tak, to mógł być paż...

— A widzi pani? Rozwiązałyśmy tajemnicę! A pedzę do domu, bo czeka mnie druga sensacja: „Lilla Weneda”.

To równie dobre? — spytała z ogniem w oku pani Marta.

— Wszystkie! — odpowiedziałam ponuro i odesłam, przekradając się pod murami domów.

(tom)

na niewinne zwierzę, które nie może się bronić.

— To prawda... — szepnęłam, zamawiając dużą czarną.

— A poza tym — ciągnęła pani Marta — niewinny człowiek zawsze zabija przede wszystkim policję. A co robi Filon? Zarzuca sobie Aline na plecy i odchodzi. Typowe postępowanie mordercy!

— A może jednak to był Kostrzyn? — zaproponowałam.

— Przecież on wcale nie znał Aline, więc to jest bardzo podejrzane.

— Myślałam już o tym — przyznała pani Marta. — Ale Kostrzyn mówi o trupie „niebezpieczna lania”, widząc więc, że nie ma pojęcia, o co chodzi. Jeżeli to nie był Filon, to naprawdę Słowacki jest mistrzem intrygi i pokonał nawet mnie.

Zamówiłam podwójną czarną i powiedziałam:

— Może już zapomniałam niektóre szczegóły. Przejrzę sobie jeszcze raz „Balladynę” i postaram się znaleźć mordercę.

Po powrocie do domu zagłębiłam się w „Balladynę”. A na jutro pośpieszyłam spotkać się z panią Martą.

— Już wiem! — zawołałam z dumą. — Aline zabił paż!

— Paż? — powtórzyła z powątpiewaniem pani Marta. — Przecież to tylko epizodyczna postać!

— Właśnie dlatego! — oznajmiłam triumfalnie. — To typowy chwyt kryminalny Słowackiego. Nikt nie podejrzewa paż. A przecież paż wyraźnie mówi: „Ja sam widziałem z gołańskiego lasu za żorawiami ciągnącą „dziewczynę”. Czyż to nie najlepszy dowód? Zbrodnia, popełniona w małoletnim wieku, pomieszała mu zmysły.

— To zupełnie możliwe — szepnęła w zadumie pani Marta. — Tak, tak, to mógł być paż...

— A widzi pani? Rozwiązałyśmy tajemnicę! A pedzę do domu, bo czeka mnie druga sensacja: „Lilla Weneda”.

To równie dobre? — spytała z ogniem w oku pani Marta.

— Wszystkie! — odpowiedziałam ponuro i odesłam, przekradając się pod murami domów.

(tom)

na niewinne zwierzę, które nie może się bronić.

— To prawda... — szepnęłam, zamawiając dużą czarną.

— A poza tym — ciągnęła pani Marta — niewinny człowiek zawsze zabija przede wszystkim policję. A co robi Filon? Zarzuca sobie Aline na plecy i odchodzi. Typowe postępowanie mordercy!

— A może jednak to był Kostrzyn? — zaproponowałam.

— Przecież on wcale nie znał Aline, więc to jest bardzo podejrzane.

— Myślałam już o tym — przyznała pani Marta. — Ale Kostrzyn mówi o trupie „niebezpieczna lania”, widząc więc, że nie ma pojęcia, o co chodzi. Jeżeli to nie był Filon, to naprawdę Słowacki jest mistrzem intrygi i pokonał nawet mnie.

Ze wszystkich równoleżników

W Aszchabadzie, stolicy Turkmenii, wykańcza się budowę nowego gmachu dla opery i baletu. Widownia będzie mogła pomieścić 6.000 osób.

„Adolf Hitler, wielki miłośnik sztuki”, — oto tytuł obszernego artykułu, zamieszczonego w zachodnio-niemieckim czasopiśmie „Revue”. To samo pismo zamieściło na okładce wielką fotografię Hitlera.

W Turkmenii prowadzi się poważne prace, mające na celu umocnienie rozległych ruchomych piaszków. Naukowcy turkmeński na skutek wieloletnich doświadczeń znaleźli doskonały sposób zalesiania pustynnych przestrzeni.

W Tokio jest publiczną tajemnicą, że japoński zbrodniarz wojenny, były generał dywizji Iszii Sziro uciekł spod straży policji i że ukrywany jest przez japońskie władze wojskowe przy pomocy Amerykanów.

Ze wszystkich stron Związku Radzieckiego zlatują się na zimę ptaki do słynnego rezerwatu Kizyl - Agacz im. Kirowa. Rezerwat Kizyl - Agacz rozciąga się na przestrzeni 189.000 hektarów.

Poselstwo kuomintangowskie w Berlinie zachodnim, liczące 160 pracowników, pozostałe już od przeszło roku bez łączności z Czang Kai - szekiem. Poselstwo korzysta z pomocy Amerykanów, którzy wypłacają urzędnikom kuomintangowskim 10.000 dolarów miesięcznie.

Około 500 książek o łącznym nakładzie ponad 30.000.000 egzemplarzy wydały w ubiegłym roku dwa największe moskiewskie wydawnictwa. Są to: państwowe wydawnictwo dla prozy i wydawnictwo związku radzieckich pisarzy.

Rozrywki umysłowe

pod redakcją R. Mielkowskiego i W. Lubnacza

I. REBUS



Rozwiązanie rebusu składa się z 6 słów o początkowych literach: P, n, w, n, p, w. („Ed-Ka”).

2. ZADANIE

na „Prima Aprilis”

Należy odgadnąć 17 wyrazów wg podanych znaczeń: 1. Zarząd wyznaczonej gminy żydowskiej. 2. Scena w cyrku. 3. Ułańska pika. 4. Święta księga mahometan. 5. Choroba. 6. Gwałtowna burza. 7. Przekazanie swego prawa innej osobie. 8. Zioło. 9. Litera grecka. 10. Taniec. 11. Imię żeńskie. 12. Odeż, szata, ubranie. 13. Sto lica w Europie. 14. Ptak. 15. Miasto w Polsce. 16. Imię męskie. 17. Droga bita.

Wszystkie wyrazy są pięcioliterowe, środkowe litery dają rozwiązanie. („Szach”).

3. KIEROWNIK STOŁÓWKI

MA GŁOS

(homonim)

Na naszym „LE...CHE, bo co dula...”. W miejsce kropek dopiszcie w pierwszej linii brakujące litery: do LE 3 litery, a do CHE 4 litery. Litery otrzymanych słów bez ich przedstawiania podzielcie na dwa inne wyrazy, z których pierwszy posiadać będzie 7, a drugi 5 liter. („Esse”).

4. ZAGADKA „KOLCA”

Litera i dźwięk portowy. To tło, a na nim film nowy. Za prawidłowe rozwiązanie wszystkich powyższych zadań przeznaczamy 3 nagrody książkowe do rozlosowania, a za co najmniej jednego — 2 nagrody pocieszenia. Rozwiązania nadsyłać prosimy w terminie 10-ciodniowym pod adresem: Spółdz. Wyd. Ośw. „Czytelnik”, Dział Rozr. Umysł., Łódź 1, Piotrkowska 98, pok. 207.

ROZWIĄZANIE

zadań z Nr 10 „Rejsów”
1. Zart rebusowy: I. Argon (znak chem. A); II. Samoa (samo „A”), archipelag w Polinezji; III. Astarte („A” starte) — bogini księżycy, niebios, wojny i miłości, czczona przez dawnych Asyryjczyków, Fenicjan i Babilończyków (towarzyszka Bala, cha-

nanejsza Venus). IV. „Nie nowe pod słońcem” (Nihil sub sole novi) — słowa z księgi „Eklezjaści”, przypisywane Salomonowi. Sprawdzian: ASAN (pierwsza litery rebusików).

2. Kalambur: Literat (litera „T”).

3. Homonim: Przyszał.

4. Zagadka palindromowa: Keson-nosek.

5. Mnożenie: $142857 \times 3 = 428571$.

Ponieważ nikt nie rozwiązał wszystkich zadań, między uczestników rozlosowaliśmy 5 nagród pocieszenia; nagrody wylosowały:

1. Mezeńska Halina, Gdańsk - Wrzeszcz, Zamenhoffa 16 m. 2;

2. Wonko Anna, Słupsk, Krajewskiego 2; 3. Sawicka Stanisława, Podkowa Leśna Główna, Elsmunda 1; 4. Wojewódka Czesław, Sopot, Świerczewskiego 6/2; 5. Kaniak Halina, Gdynia, Abrahama 41/8.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

Czy wiecie, że...

... średnia głębokość mórz wynosi 3,5—4 km; normalnie już przy głębokościach ponad 1 km ciepota mórz jest niezależna od zmian sezonowych na powierzchni i jest we wszystkich morzach mniej więcej jednakowa — od plus 2,0 st. C do minus 1,5 st. C; przy znaczniejszych głębokościach temperatura jest niższa.

... światło przenika w wodę morską przeważnie tylko do głębokości 350—500 m. Do tej też głębokości przenikają promienie świetlne, które zdolna jest uchwycić klisza fotograficzna (wastwa naświetlona, czyli fityczna; poniżej rozciągają się wieczne ciemności — warstwa afityczna). Człowiek jednak już na głębokości ca 60 m nie widzi.

... flora morska występuje tylko do granicy przenikania światła; natomiast fauna morska występuje na wszystkich głębokościach.

... morza chłodne zawierają więcej planktonu niż morza ciepłe: ponieważ plankton stanowi podstawowy „artykuł” żywnościowy większości ryb, morza chłodne są najbardziej rybne i na nich koncentruje się rybołówstwo światowe.

Miedzy nami kobietami

Dwa spotkania

dy tylko zesłaliśmy do obszernych podziemi, gdzie znajdowały się sale ćwiczebne z maszynami rolniczymi w Centralnej Szkole Administracji Rolnej w Elblagu, od razu w pierwszej hali natknęłam się na grupę kursistów, w której rej wodzila Magdalena Figur.

To dzielna dziewczyna. Za wzięcia i pilna w nauce — powie dział towarzyszący nam wykładu

wca, patrząc z uznaniem na swą uczennicę w męskim kombinie nie. — Choć ma trudności z językiem, na pewno dobrze zda egzamin.

Za chwile zawarliśmy bliższą znajomość. Lena w bezpretensjonalny, szczerzy sposób opowiedziała mi o swoim pobycie w szkole w Elblagu. — Tak się cieszę, że mogę uzupełnić braki w nauce. Kto przed wojną dbałby o to, aby córka farnala mogła zdobyć wy-

kształcenie zawodowe i to w tak „męskim” zawodzie jak mój.



Magdalena Figur

Wczesną wiosną, pełną zapachów i słońca wyruszyłam do ze spodu PGR w Waplewie, do przodującej brygady traktorzystów Magdaleny Figur, aby zrobić reportaż. Traktory wyruszyły już w pole, a Lena, której ponadto oddano pod opiekę 12 majątków, należących do zespołu Waplewo, aby czuwała nad przygotowaniem do akcji siewnej, „wypysne” rowerem na inspekcję do polickich Nowin, gdzie się urodziła i wychowała.

Gdy spotkałyśmy się pod wieczer w Waplewie, dziewczyna uśmiechnęła się serdecznie i po powitaniu zaprowadziła mnie do swego pokoju w pałacu waplewskim.

— Proszę się nie gorszyć nieporządkiem, jaki u mnie panuje — tłumaczyła się, „gesto” i niepotrzebnie, gdyż pokoik był schludny jak i jego właścicielka. — Akcja siewna w toku to nie ma czasu na przesiadywanie w domu — mówiła sadowiąc mnie w krzesło i pokazując z dumą świeżo wreczoną jej przez ministra Tkaczowa order Sztandaru Pracy II klasy.

— Jak mi wiadomo, odpowiadając na apel górnika Markiewki podjęła pani wraz ze swoją brgą długofalowe współzawodnictwo.

— Zobowiązaliśmy się, że każdy zaozre jednym traktorem 400 ha od wiosny do jesieni br. — mówi twarzą Leny. — Jestem spokojna, bo na pewno damy sobie radę. Pani nie wyobraża sobie, jak ja lubię swoją pracę! Teraz gdy mam nawet roboty mogę się „urwać” tylko na krótko, a e skoro tylko dopadnę traktora, wiem, że żyję — kończyła swe zwierzenia Lena. — Trzeba będzie jeszcze dziś załatwić sprawę paliwa dla traktorów w majątku Gintro, oraz reperację siewnika w Sztanowie. Przecież wszystko musi być „zapięte na ostatni guzik” — powiedziała wesoło Magdalena Figur, przysyając mi na pożegnanie miłe uśmiechy.

Przygody Felusia Rybki

Naopisał STEFAN KOŁODZIEJEK



Jak widzicie, przyjaciele, mil do niego stąd niewiele. tam w faktorii u Jonasza podróż się zakończy nasza.

Jonasz Rudy — chytry kupiec (dałby się dla złota upiec) tu u stóp lodowej góry skupował za wódkę — skóry.

Lecz jak dotrzeć do wspólnika kiedy drogę lód zamyka? Olaf dłoń swą do ócz wznosi — Może ss tu Eskimosi?

d. c. n.